

LUCJAN MOMOT

**KSIĄDZ KANONIK FRANCISZEK PISZCZÓR (1908-1984)
KAPŁAN TRZECH ARCHIDIECEZJI:
LWOWSKIEJ, WROCŁAWSKIEJ I KRAKOWSKIEJ***

SPOTKANIE

Poznaliśmy się w pochmurne, zimne, lutowe popołudnie roku 1953, gdy nad Polską od kilku lat rozpościerała swe ciemne moce stalinowska noc, w Nowej Wsi Kąckiej, dokąd przybyłem z rodzinnej Zamojszczyzny, aby objąć posadę nauczyciela w sześcioklasowej szkole podstawowej. Do miejsca przeznaczenia przybyłem, wówczas 19-latek, z trwożnym pytaniem w sercu: „co też mnie tutaj spotka na tym »Dzikim Zachodzie«”?

Przywitanie z kierowniczką szkoły p. Kazimierą Lenert przyniosło nikłe uspokojenie – sympatyczna! Pierwsza w moim życiu szefowa zaprosiła mnie na herbatę, bo „zimno na dworze”. Po chwili do gościnnego pokoju wprowadziła roześmianego jegomościa w czamarze i koloratce, po czym przedstawiła nas: „Ksiądz Franciszek Piszczor, nasz proboszcz z Kątów Wrocławskich”.

Gdy gościnnie p. Kazimiera – jak ją zwał ks. Franciszek – wyszła na chwilę do kuchni, nowo poznany kapłan tłumaczył mi, chyba dla wypełnienia denerwującej próżni czasowej, że przyjechał na lekcje religii, które miał w miejscowym, nieogrzewanym, filialnym kościele, gdzie zmarł, podobnie jak dzieci, więc chętnie skorzystał z zaproszenia na gorącą herbatę.

Mgr LUCJAN MOMOT – emerytowany nauczyciel i pedagog zamieszkały w Świdnicy Śląskiej, dziennikarz prasy lokalnej i regionalnej; e-mail: sayo44@wp.pl

* Tekst opracowano głównie na podstawie notatek sporządzonych za życia ks. Franciszka Piszczora, za jego wiedzą. Napisany i podany do druku – zgodnie z wolą ks. Franciszka – dopiero po jego śmierci.

Słyszałem już coś o tzw. księżach patriotach, mimo to zaryzykowałem kłopotliwe pytanie, które we mnie siedziało jak zadra, aby sprawę raz wyjaśnić na samym początku: – „Księżo – wyszeptalem pośpiesznie – jaka jest ta kierownicza – czerwona czy biała?”.

Jegomość przez moment popatrzył na mnie – jakby coś ważnego ważył w myślach – i... parsknął serdecznym, rozbajającym śmiechem! Śmiał się patrząc na moje pełne niepokoju oczy, by po chwili wyrzucić z siebie radosne: „Ależ biała! Biała! Niech się pan nie boi!”.

Ciężar z serca spadł nie tylko mnie! I ks. Franciszek, i p. Kazimiera ucieśli się bardzo z takiego obrotu sprawy. Wieś, ksiądz i kierownicza szkoły żyli sobie zgodnie, rozumieli siebie i „ciężkie czasy”, w których przyszło im żyć i pracować, więc i to, że dzieci trzeba uczyć religii, wypędzonej ze szkoły przez komunę. Gdy było ciepło, nie było raczej zmartwienia. Gorzej w zimie – marzły dzieci, marzył ksiądz cierpiący na dolegliwości płucne. Dlatego dogadali się, że w zimie ksiądz uczy religii w szkole. Może nikt nie doniesie „ludowej władzy”. Wszystko na siebie wzięła bezpartyjna kierownicza! Matka dwu nieletnich córek – Jadzi i Kazi i żona człowieka, który mieszkał w zachodniej Europie.

Nikt nie doniósł. Ludzie byli ze „wschodu”, ksiądz także – z archidiecezji lwowskiej, więc „zalety” komuny znali z autopsji: „wyzwolono” ich po raz pierwszy w roku 1939!

Ksiądz, odjeżdżając rowerem, zaprosił mnie do złożenia wizyty na plebanii w Kątach. I tak to dobry Bóg skrzyżował nasze drogi życia na długie lata męskiej przyjaźni i wzajemnego zrozumienia, wzajemnej sympatii, których nie zakończyła nawet śmierć ks. Franciszka 24 maja 1984 r.

TWARDY GÓRAL

Urodził się 3 sierpnia 1908 r. w Skrzypnem na Podhalu, w góralskiej, niezbyt zamożnej rodzinie. Po ukończeniu nowotarskiego gimnazjum wstąpił do Metropolitalnego Seminarium Duchownego we Lwowie. Lata spędzone w tym mieście sprawiły, że rozmiłował się w lwowskim „bałaku” – to był drugi jego język rodzinny, jak gwara góralska, którą wyssał z mlekiem matki! W towarzyskich spotkaniach pięknie i chętnie mówił w jednym i drugim języku, opowiadał „kawały” i śpiewał na góralską i lwowską nutę.

W czerwcu 1933 r. otrzymał święcenia kapłańskie. Na obrazku prymicyjnym z wizerunkiem św. Franciszka, który mi podarował, umieścił jako motto i wytyczne swojego życia werset z Psalmu 85, 11: „Prowadź mnie Panie

drogą Twoją, a niechaj chodzę w prawdzie Twojej”. I konsekwentnie chodził tą drogą bezkompromisowej, twardej Bożej prawdy do końca swoich dni, chociaż, jak mało kto z ludzi, wyrozumiały był na błędy i słabości ludzkie: starał się zrozumieć bliźnich, ale i potrafił wskazać im słuszną drogę! Przy tym sam był najlepszym przykładem, nie tylko jako kapłan, ale i jako człowiek; pociągał rzeczywistą skromnością i sumiennym, solidnym wypełnianiem kapłańskich powinności, które rozumiał – jeszcze przed Vaticanum II – jako służbę Bogu i ludziom! Mówił: „Po to zostałem księdzem, żeby innym służyć, a nie realizować świeckie »przykazania«”.

Po święceniach kapłańskich rozchorował się na płuca. Leczenie było mordercze i długie: sił do pracy nabierał m.in. jako rekonwalescent w dobrach hrabiów Krasickich i jako kapelan u sióstr szarytek w Nowosiólkach. Z dolegliwości płucnych nigdy się nie wyleczył. Ta choroba szła z nim aż do śmierci. Przywykł do niej, traktując ją jako „krzyż Pański”. Kiedyś powiedział do mnie: „Wiesz, Lucku, choroba w życiu kapłana to jest szczególny dar nieba, żeby sługa Boży nie zapomniał, po co został powołany na ziemi, żeby zbyt mocno nie przywiązywał się do ziemskich, materialnych spraw, żeby nie pogubił priorytetów!”.

Jednym z jego najważniejszych priorytetów była jego nieklamana miłość do konfesjonału. Na moje pytanie, jak zostać dobrym księdzem, odpowiedział: „Tylko, jeżeli pokochasz konfesjonał! Bo w konfesjonale jest najważniejsza praca z bliźnim dla naszego Pana Jezusa!”.

WIKARY W MARIAMPOLU

W sierpniu 1939 r. został mianowany wikarym w Mariampolu, pow. Stanisławów. Tam zastał go wybuch II wojny światowej, a wkrótce potem przeżywał, 19 września 1939 r., pierwsze „wyzwolenie” przez robotniczo-chłopską Armię Czerwoną.

Nieproszeni przybysze, samozwańczy „wyzwoliciele”, swoje rządy zaczęli od aresztowań Polaków, tzw. wrogów ludu i nowego porządku, okazując się równocześnie ogromnie pazernymi na kapitalistyczne dobra: wykupowali dosłownie wszystko – włącznie z nocnikami! – i to w olbrzymich ilościach, nie patrząc na rozmiar, jakość, kolor itp. Dla nich „było wsio charoszyje”! Po kilku tygodniach nowych porządków sklepy zostały zupełnie ogołoczone!

Rychło symbolami „wyzwolenia” stały się na każdym miejscu portrety „batiuszki Stalina”, kolejki pod sklepami tudzież natrętna melodia – w przekonaniu sowieckich ideologów siejąca „socjalistyczny uśmiech i czar, opty-

mizm i wyższość ustrojową” – moskiewskiego radia z buńczuczny refrenem: „Kipuczaja, maguczaja, nikiem nie podbijedzimaja Moskwa maja, strana maja, ty samaja lubimaja!”.

Wszędzie się ją słyszało: w radiu, czyli w tzw. kołchoźnikach, porozwieszanych przez „oswobodzicieli” w miejscach publicznych, w kinie, na przy-musowych mityngach itp.

Lud polski sowieckie nowe porządki potraktował śmiechem, kpina, ironią, dając stosowną parafrazę ukochanej przez bolszewików piosenki:

Rano wstajesz, kusać nietu!
 W oczeredzi nada stać.
 A choć stoisz dniem i wieczór,
 Z pustym brzuchem idziesz spać.
 Ta joj!
 Bez portek ja, bez butów ja,
 Oj głodny ja i bosy ja,
 A robić trza, a robić trza
 I z tego człowiek g... ma!
 Ta joj!

Tak m.in. śpiewano sobie w gronie znajomków i w Mariampolu. W odpowiedzi na uporczywie wmawiane przez bolszewików „wyzwolenie” powstał dwuwiersz:

Wyzwolili nas spid krowy, spid świni,
 ino Stalin na stini!

Do „rewolucyjnych pociągnięć” sowieckich zaborców należało obsadzanie kluczowych stanowisk przez swoich ludzi, przeważnie sprowadzonych z głębi Kraju Rad. I tak kierownikiem szkoły powszechnej został, chyba Rosjanin, ubrany więcej niż ubogo. Wkrótce jednak odkuł się. Najpierw poprosił nauczycielkę, Polkę, jego podwładną (w szkole uczyli polscy nauczyciele, ponieważ większość uczniów stanowiły polskie dzieci!), żeby mu „pożyczyła” ubranie męża, którego wzięto do Armii Czerwonej. Tłumaczył to tak: „Wot, znajesz, zaczem jemu etot kostium? On tiepier w armii i Boh znajet, szto z nim budiet”.

Po niedługim czasie „towariszcz” kierownik, nazywany z rosyjska „zawidujuszczij naucznyimi dziełami”, otrzymał krowę po wójcie Wójciku, którego aresztowano, i nie wrócił więcej. Dzięki temu miał mleko, masło, ser, więc „towariszcz kierownik” wydobrzył, nabrał wigoru i zachciało mu się żenić. Upatrzył sobie pannę Zofię Lewicką. Cóż, kiedy pannie nie przypadł do gustu. Żeby spławić natręta, powiedziała mu, że nie może wyjść za niego za męża, ponieważ jest nieochrzczony.

W krótkim czasie, po tej rozmowie, chyba celowo, kierownik „spotkał” ks. Piszczora spacerującego po ruinach zamku książąt Jabłonowskich (księża za władzy sowieckiej nie mieli prawa wstępu do szkoły) i zagaił tymi słowy:

– Swiaszczennik, ja chocz u krestiti, kak eto možna zdiełać? Tak ... po tichońku.

– Tak po tichońku nie można – grzecznie odpowiedział ks. Franciszek – To musi być uroczyście, wszyscy ludzie muszą o tym wiedzieć.

– Wot, wot ... eto nieładno, tak ja nie chocz!

I już więcej nie przychodził z prośbą o chrzest i powoli, powoli, ale dał spokój panie Zosi.

Kierowniczką domu sierot, którym za polskich czasów zarządzały siostry szarytki od św. Wincentego à Paulo, została młoda Rosjanka, ładna blondyna. To była ważna osobistość, m.in. organizowała wieczorki taneczne, tzw. wieczornicy. W niej podkochiwała się i polska kawalerka. Ale pani kierowniczka upatrzyła sobie... proboszcza ks. Marcina Bosaka, starając się z nim nawiązać kontakt. Pewnego razu podeszła do ks. Piszczora, swoim zwyczajem spacerującego po ruinach zamku (gdzie przed wojną budowano kościół), z tymi słowy: „Peredajcie zwyty waszemu Bosaku!”.

Z tych dwóch relacji wynikać mogłoby, iż władza sowiecka chciała być tolerancyjna wobec „przeciwnika ideologicznego”. Niestety, było wręcz przeciwnie. Nauczyciele i wychowawcy sowieccy kazali dzieciom polskim wołać za polskimi księżmi rzymskokatolickimi; „Pip, pip z borodoj, durit ludiej!”. Tak jak za popami prawosławnymi w Rosji. W polskiej sytuacji było to i nie logiczne, i śmieszne, ponieważ polscy księża nie nosili bród. W Mariampolu nie było cerkwi prawosławnej, ale cerkiew unicka.

Szczytem sowieckiej „tolerancji” religijnej, w wydaniu mariampolskim, był wywieszony w szkole kolorowy, wielki rysunek przedstawiający drzewo genealogiczne Kościoła katolickiego. Na wierzchołku drzewa siedziało ptaszysko w tiarze na głowie, niżej, na poszczególnych gałęziach ptaki (kruki?) w mitrach, w różnokolorowych biletach i innych oznakach władzy duchownej, pod rysunkiem widniał napis: „Pticy niebieskije, nie paszut, nie siejut, a pajut, pajut!”. Taki widok ujrzeli miejscowi księża, którzy weszli do szkoły po ucieczce sowieckiego „naczalstwa” w czerwcu 1941 r.

Obraz sowieckich porządków nie byłby pełen, gdybyśmy nie wspomnieli o kołchozach i wywózkach na Sybir. W Mariampolu kołchoz utworzono z gruntów chłopskich i parafialnych. Między innymi od domu do domu chodzili agitatorzy i namawiali:

– Agitator do chłopa: „Zapiszcie się w kołchoz”.

– Chłop na to: „A czy to przymusowo, czy dobrowilno?”

- Agitator: „Dobrowilno!”
- Chłop: „A jak się nie zapiszu?”
- Agitator: „To budziesz biłyje miedźwiedzi pasty w Sybiru!”.

Masowe wywózki na Sybir Polaków rozpoczęły się 10 lutego 1940 r. Była bardzo mroźna zima. Z parafii mariampolskiej wywieziono kilkanaście rodzin. Z donosu nacjonalistów ukraińskich bolszewicy wywieźli większych działaczy polskich, nie osadników z lat 1918-1939.

MARIAMPOL POD NIEMIECKĄ OKUPACJĄ

W czerwcu 1941 r. wkroczyli do Mariampola Niemcy. Nastąpiły niemieckie porządki. Przede wszystkim Niemcy rozparcelowali kołchozy, kazali indywidualnie gospodarować i dostarczać wysokie kontyngenty. W gminie i na policji urzędowali Ukraińcy. Z donosu Ukraińców w początkach sierpnia gestapo ze Stanisławowa aresztowało ks. M. Bosaka, proboszcza. Po dwóch tygodniach zwolniono go. Potem był wzywany do gminy w sprawie gruntów parafialnych. 24 sierpnia 1941 r. Ukraińcy przyszli po niego ok. godz. 22, by szedł do gminy. Został zamordowany za Mariampolem na polu w kierunku Halicza. Ciało jego znaleźli gospodarze w ochabie, tj. nad brzegiem Dniestru, zarośniętym krzakami. Miał dwa postrzały: jeden w serce, drugi w twarz pod nosem. Był tylko w bieliźnie – zdarto z niego ubranie. Po pogrzebie ks. Bosaka ks. dziekan Kazimierz Bilczewski ze Stanisławowa powierzył ks. Piszczorowi funkcję tymczasowego administratora parafii mariampolskiej. Do pomocy ks. Piszczor miał ks. Łukasza Śmigielskiego, kapelana sióstr szarytek, a mieszkającego po przybyciu Rosjan w 1939 r. na plebanii, po usunięciu go z sierocińca.

W sierpniu lub wrześniu 1941 r. była wielka powódź – zniszczyła kukurydzę i ziemniaki. Na wiosnę 1942 r. nastąpił w tych okolicach wielki głód; ludzie puchli z głodu i umierali.

Jesienią 1942 r. na administratora do Mariampola przybył ks. dr Mikołaj Witkowski, były katecheta w gimnazjum w Tłumaczu. Ponieważ siostra ks. M. Bosaka, która była gospodynią, zabrała z plebanii mienie i inwentarz z budynków gospodarczych, na plebanii też gościł głód. Wówczas ks. Franciszek napisał podanie do kurii we Lwowie o zgodę na wyjazd do domu lub o przeniesienie na inną placówkę. Jako motywację podał zły stan zdrowia i brak pożywienia oraz brak pracy duszpasterskiej dla trzech księży w Mariampolu.

PROBOSZCZ W TŁUMACZU

17 października 1942 r. Kuria Metropolitalna we Lwowie skierowała go na posadę tymczasowego administratora parafii rzymskokatolickiej w Tłumaczu. Tam bowiem został aresztowany przez gestapo ks. proboszcz Edward Tabaczewski za wystawianie Żydom fikcyjnych metryk chrztu. Ks. E. Tabaczewski zmarł w stanisławowskim więzieniu na tyfus 20 października 1942 r., o godz. 19.00, w celi nr 2 – taka informacja widniała w jego brewiarzu, który ktoś podrzucił ks. Franciszkowi na plebanię.

W Tłumaczu ks. F. Piszczór zastał wikarego ks. Jana Terleckiego, młodszego kolegę z lwowskiego seminarium, i byłego katechetę szkoły powszechnej – ks. Stanisława Kuchtę. W parafii panowała epidemia czerwonki. Chorym był również ks. J. Terlecki. Wobec tego główny obowiązek zaopatrywania chorych i licznie umierających spadł na nowego proboszcza.

Niebawem z Tłumacza musiał uciekać ks. J. Terlecki. Otrzymał ostrzeżenie od nauczycielki szkoły powszechnej, że gestapo zamierza aresztować go za to, że kupił dywan od Żydów. Ksiądz wikary potajemnie wyjechał w strony rodzinne koło Gródka Jagiellońskiego.

Na Boże Narodzenie 1942 r. kuria lwowska przysłała nowego wikarego. Był nim ks. Edward Kopeć, nowo wyświęcony kapłan. Młody, ambitny ksiądz – umiał sobie zjednać ludzi: ładnie śpiewał i grał na organach, był bardzo lubiany przez proboszcza i parafian. Ks. Franciszek współpracował z nim do połowy kwietnia 1944 r.

Z końcem marca 1944 r. przybyły do Tłumacza oddziały wojsk węgierskich, cofające się wraz z Niemcami ze wschodu. Węgrzy do Polaków odnosili się bardzo przyjaźnie. 30 marca od strony Horodenki wkroczyły do miasta oddziały Armii Czerwonej. Niemcy w odwrocie zbombardowali Tłumacz i mostek na rzeczce Tłumaczyk. Kilka bomb spadło obok kościoła: wyleciały zeń okna i kościół popękał, ale nadawał się do użytku. Na Wielkanoc okna zabito deskami i dywanami, bo w Niedzielę Palmową nawiało do kościoła śniegu do tego stopnia, że potworzyły się zaspasy.

W tym czasie ks. E. Kopeć przeżył następujące zdarzenie. Gdy ks. Franciszek przebywał w kancelarii na parterze plebanii, rozmawiając z ludźmi, którzy przyszli ochrzcić dziecko, do ks. E. Kopia na piętro wpadli trzej żołnierze sowieccy i zobaczyli, że ksiądz ma skórzane buty z cholewami. Na ten widok zawołali: „Dawaj sapogi!”. I jeden z nieproszonych gości zaczął ściągać swoje brezentowe, podarte obuwie. Ksiądz wikary butów nie dał, żołnierze zaś, słysząc rozmowę dochodzącą z dołu plebanii, szybko zbiegli po schodach. Za

nimi wyszedł, czerwony jak burak, ks. E. Kopeć, który na pytanie ks. F. Pi-szczora: „Co jest?” – odpowiedział: „Chcieli mnie z butów wyzwolić!”.

Nie był to odosobniony przypadek takiego „wyzwalania”; ks. Michalcowi z Tarnawicy Polnej ściągnięto buty, gdy wracał od chorego.

Po dwóch tygodniach sowieckiego panowania, koło połowy kwietnia, Niemcy powrócili, wypierając Sowietów gdzieś na linię Buczacz–Horodenka–Kołomyja. Ponieważ rozeszła się pogłoska, że Niemcy będą brać młodych ludzi do roboty, ks. Kopeć i ks. Kuchta z grupą młodzieży męskiej poszli za Rosjanami, którzy teraz deklarowali się jako przyjaciele.

Podczas odbijania Tłumacza Niemcy zbombardowali plebanię. Ks. Franciszek najważniejsze rzeczy z plebanii, z kancelarią włącznie, przeniósł do zakrystii, a sam zamieszkał w przytulisku u sióstr albertynek. Tutaj też na pewien czas znalazł schronienie ks. Jakub Marszał z Chocimierza, który Niemcy wysiedlili, jako że leżał w pobliżu frontu.

W czasie wojny Tłumacz znalazł się w strefie przyfrontowej. Do kościoła przychodzili odprawiać msze św. księża niemieccy i węgierscy: jedni byli kapelanami, inni sanitariuszami, wszyscy grzecznie odnosili się do ks. Franciszka, który w tym czasie m.in. przygotowywał dzieci do I Komunii św.

W Tłumaczu Niemcy stali frontem aż do 25 lipca 1944 r., kiedy to znowu powrócili Rosjanie, a z nimi księża Kopeć i Kuchta. 26 lipca, na św. Annę, patronkę parafii, odprawiono uroczystą mszę św. dziękczynną.

W czasie przesuwania się frontów, szczególnie podczas wkraczania i panowania Sowietów, podnosili głowy nacjonaliści ukraińscy – masowo mordując Polaków po wsiach w imię tzw. Samostijnoj Ukrainy! W marcu 1944 r., gdy Niemcy po raz pierwszy wycofywali się z Tłumacza i okolic a wkraczali Rosjanie, Ukraińcy zamordowali 35 mężczyzn we wsi Nadorożna – 5 km od Tłumacza, zamieszkałą głównie przez polską szlachtę zagrodową, o nazwiskach: Smółscy, Samborscy, Zagórscy, Azarkiewiczze, Kłodzińscy. Niektórych z pomordowanych pochowano na miejscu – w ogrodach, około 25 przywieziono do Tłumacza, gdzie odbył się wspólny pogrzeb. Był to bardzo smutny i pełen trwogi dzień w Tłumaczu.

W Pałaniczach i w Jackówce banderowcy pozbierali tych Polaków, którzy nie uciekli do miasta, ponieważ byli spokrewnieni z Ukraińcami, powiązali ich drutem kolczastym, umieścili w stodołach i podpalili.

Z ich rąk padło jeszcze wiele innych ofiar, m.in zamordowali całą rodzinę z Jackówki, która na Wielkanoc szła do kościoła; w Hryniowcach koło kościoła filialnego powiesili polską dziewczynę Wiśniewską; latem 1944 r., również w Hryniowcach, zamordowano kilka osób – kobiety, dzieci – które poszły na jagody do lasu. Jesienią 1944 r. banderowcy rozbili więzienie w Tłu-

maczu: aresztowanych Ukraińców wypuścili, zaś ok. 15 Polaków zamordowali. W samej tylko parafii Tłumacz Ukraińcy zamordowali ok. 160 Polaków! Ludność polską ogarnęły strach, rozpacz, trwoga!

Przez cały czas panowania Sowietów w roku 1944/45 Ukraińcy dopuszczali się mordów na ludności polskiej. Było i tak, że wyznaczano mieszkańcom polskiej wsi termin opuszczenia domostw i wyjazdu, np. w ciągu 24 godzin, grożąc, że po upływie tego czasu wieś będzie spalona, a ludność wymordowana. Tak stało się m.in. we wsi Okmiany: termin opuszczenia wsi przysłano na piśmie. Kiedy mieszkańcy Okmian udali się z tym do władz sowieckich z prośbą o pomoc, ta powiedziała: „No to wyjeżdżajcie, kiedy wam tak pi-szą!”. I pomocy nie udzieliła. Chodziło o to, by Polacy te tereny jak najszybciej opuścili, a ludziom przecież ciężko było rozstawać się z ojcowizną i rodzinnymi stronami!

Polacy, nie mając opieki ze strony władzy sowieckiej, uciekali do Tłumacza i innych miast, cisnęli się w zatłoczonych mieszkaniach po kilka rodzin, chorowali na tyfus, a wreszcie stopniowo wyjeżdżali na zachód, ponieważ Ukraińcy ciągle mordowali.

W drugiej połowie czerwca 1945 r. do ks. F. Piszczora przyszedł milicjant z nakazem, aby do trzech dni opuścił Tłumacz. W niedzielę proboszcz oznajmił tę wieść parafianom i z płaczem wszyscy żegnali kościół. Ks. E. Kopeć w tym czasie przebywał w Horodence.

W wyznaczonym przez Sowietów dniu ks. Franciszek zabrał z kościoła paramenta i naczynia liturgiczne, kartoteki i księgę zapowiedzi ślubnych (nie zarekwirowali ich Rosjanie; później, już na Dolnym Śląsku, na ich podstawie wystawiał metryki) i ciężarowym wojskowym autem radzieckim wyjechał do Stanisławowa, gdzie zamieszkał w kościele na „Majzlach”. Tutaj czekał na wyniki konferencji poczdamskiej. Polacy bowiem spodziewali się, że dawna Małopolska Wschodnia ze Lwowem zostanie przy Polsce i wrócą w swoje strony rodzinne, a więc i do Tłumacza. Kiedy okazało się jednak, że Małopolska Wschodnia została wcielona do ZSRR, ks. F. Piszczor zapisał się na wyjazd na zachód. 12 sierpnia 1945 r. razem z siostrami józefitkami i ich sierocińcem opuścił Stanisławów. Po czterech dniach podróży koleją w towarowych wagonach przybyli do stacji Brochów koło Wrocławia. Tutaj zastali ok. 15 tysięcy wysiedlonych ze wschodu Rzeczypospolitej, którzy szukali miejsca i środków do życia na Dolnym Śląsku. Ksiądz Franciszka z radością zabrali ze sobą gospodarze pochodzący od Skąlatu, którzy zamieszkali w Gniechowicach.

Była to ekspatriacja ludności polskiej z terenów wschodnich Rzeczypospolitej – z ojczystych stron rodzinnych – a nie repatriacja, jak głosiła propaganda sowiecka i PRL, usiłując ciemnotą ogłupić Polaków.

PROBOSZCZ W KĄTACH WROCŁAWSKICH

Z Gniechowiec ks. Franciszek rychło przeniósł się do Kątów Wrocławskich, ściągnięty przez swoich byłych parafian ze Wschodu. W nowym miejscu siły swe poświęcił na stworzenie z różnych przybyszów-przesiedleńców jednej wspólnoty parafialnej. Tam też otrzymał godność kanonika oraz uroczyste obchodził, w czerwcu 1958 r., jubileusz 25-lecia kapłaństwa, na który m.in. przybyli jego rodacy z Podhala z kapelą, przyjaciele, wierni i najdostojniejszy gość, ordynariusz archidiecezji wrocławskiej – ks. abp Bolesław Kominek.

Z ks. Edwardem Kopciem ks. Franciszek rozstał się jeszcze na terenie archidiecezji lwowskiej. Ks. E. Kopeć tylko tydzień dłużej przebywał w Tłumaczu. Po wysiedleniu go przez Sowietów zatrudniony został przez kurię lwowską, po czym wyjechał do Poznania, a później został profesorem KUL.

W Tłumaczu zostało jedynie ok. 50 Polaków, przeważnie spokrewnionych z Ukraińcami.

NA SKALNYM PODHALU W MARUSZYNIE

Zawierucha wojenna, lata wytężonej pracy zrobiły swoje: choroba płuc gwałtownie dała o sobie znać w 1961 r. Wtedy to ks. Franciszek usłyszał z ust lekarza, że o ile chce jeszcze żyć i popracować, to powinien poszukać sobie lżejszego zajęcia niż parafia kątecka i przede wszystkim zmienić klimat dolnośląski na górski, ot, najlepiej wyjechać na Podhale. Tak się złożyło, że w jego stronach rodzinnych, w Maruszynie, leżącej tuż koło Skrzypnego, górale mieli kaplicę i szukali księdza. Skorzystał z okazji i przez 16 lat „gazdował” w Maruszynie. Nie spoczął jednak na laurach: uczył religii, przygotowywał dzieci do I Komunii św. i – przede wszystkim – wspólnie z rodakami-parafianami, którzy go zaprosili i polubili, postanowił rozbudować małą kaplicę w duży kościół, który stałby się sercem nowej parafii.

Były to lata panowania Gomułki, a potem Gierka, a więc lata bardzo trudne dla kościelnych instytucji. Mimo to pokonano wszystkie przeszkody. Tam, gdzie nie można było muru biurokracji komunistycznej przebić złotówkami i prośbami, „cuda” czyniły góralskie dolary, te aż z Chicago! Kiedyś

ks. Franciszek powiedział do mnie: „Widzisz, co to za ideologia ten komunizm? Przed dolarem nisko bije czołem! co to jest warte?”.

Pewnego razu budowany kościół odwiedził metropolita krakowski ks. kardynał Karol Wojtyła, dając swoje błogosławieństwo budowniczym i doceniając tym samym wysiłek proboszcza i jego parafian.

KAPELAN W RABCE

Po latach „gazdowania” w Maruszynie i po wybudowaniu kościoła choroba znowu dała znać o sobie: ks. Franciszek przekazał maruszyńską parafię młodszemu koledze i w 1977 r. został kapelanem ss. urszulanek SJK w Rabce. Cieszył się, że mimo uciążliwej choroby, dobry Bóg dał mu na tyle sił i zdrowia, że dane mu było spełnić jego kapłańskie marzenie-pragnienie: wybudował kościół! A budował ten dom Boży za różne pieniądze – od dobrowolnych ofiar parafian po własne oszczędności z intencji mszalnych.

Zmarł 24 maja 1984 r. w Rabce, w 76 roku życia; odszedł do Boga po nagrodę za 51 lat wiernej służby w kapłaństwie. „Serdecznie żegnany – pisały do mnie siostry urszulanki z Rabki – przez licznie zgromadzonych górali, kapłanów, siostry zakonne, mieszkańców Rabki i rodzinę; pochowany został w Maruszynie przy kościele, który wybudował w czasie pełnienia tam przez 16 lat obowiązków proboszcza”.

Kim był dla mnie osobiście? Przede wszystkim mężem Bożym, wzorem dobrego kapłana, człowieka, bliźniego, gorącego patrioty – Polaka, szeroko otwartego na sprawy Boże i ludzkie, a przy tym skromnym sługą! Kiedyś kateccy parafianie kupili mu motorower „Simson”, żeby lżej mu było jeździć do wsi na lekcje religii. Po pewnym czasie motorower sprzedał i kupił coś do kościoła za te pieniądze. Spytałem go, dlaczego tak uczynił? Odpowiedział, że nie może pokazywać światu, że żyje ponad stan. Nie uchodzi, żeby on, kapłan, jeździł „Simsonem”, skoro jego parafian stać najwyżej na rower! Bo przecież ludziom czy władzy nie będzie tłumaczył, każdemu z osobna, że ten motorower nie jest jego, że kupili go mu parafianie! Ks. Franciszek przekonany był, że szczęściem kapłana powinna być świątynia pełna wiernych, a nie obrastanie w dobra materialne. A świątynia – mówił – wtedy będzie pełna wiernych, kiedy ich duszpasterz nie będzie żył ponad stan, ale jak przeciętny parafianin, a może i biedniej!

Do niego pasują słowa Stefana Kisielewskiego, które wybitny publicysta wypowiedział w związku z pytaniem Marcina Króla na temat świętości księży: „Nie będę się wypowiadał na temat kryteriów, jakimi posługuje się Kość-

ciół, ale ja znałem księży, którzy właściwie byli świętymi. Dokonali olbrzymiego wysiłku, aby pozbyć się egoizmu, pozbyć się wszelkich ambicji doczesnych, aby żyć całkowicie w Chrystusowej moralności, w Chrystusowym porządku. Nie byli to księża na świeczniku, raczej zwyczajni, skromni, którzy potrafili pozbyć się wszelkich małości i potrafili osiągnąć ideał czystości. Kościół często takich ludzi nie odnajduje, bo do ich świętości należy to, że się na pierwszy plan nie wybijają, nikt nawet nie wie o ich wysiłku. Ich wiara w to, że Bóg widzi ten wysiłek, im zupełnie wystarcza. Ja jednak osobiście bym tak nie potrafił”¹.

¹ *Czekam z ogromnym zaciekawieniem. Ze Stefanem Kisielewskim rozmawia Marcin Król, „Tygodnik Powszechny” 9.03.1986 (nr 10).*